

Dywergencyjny proces zmian

Polska szkoła przypomina okazałe jeszcze drzewo porośnięte hubą (*Fomes fomentarius*), w którym zagnieżdżyły się korniki (*Ips typographus*), i które to drzewo od czasu do czasu zraszane jest kwaśnymi deszczami. W nieposkromionej pokusie porównań może być ta szkoła także lasem, gdzie nikt nie panuje nad rabunkowym użytkiem drewna, nie porządkuje ścieżek pożarowych, a kultura leśna z kulturą ma niewiele wspólnego, więcej z odpustową jarmarcznością.

Dość porównań, choć można by je mnożyć. W takiej frywolnej wizualizacji obiekt (szkoła) nabiera kształtu i lepiej daje się poznać. Nie sposób jednak uniknąć krytyki, że taka ocena – bo to co czytasz czytelniku oceną jest – nie jest merytoryczna, nie odwołuje się do faktów, a jest co najwyżej subiektywnym, żółcią przepełnionym tendencyjnym obrazem. Oczywiście konstruowanym przez kogoś, kto się *nie załapał*.

Ale po kolei. Średnio pamiętam szkołę powszechną z lat '72 – '86 jako jej uczeń. Zdecydowanie lepiej pamiętam szkołę od 1991 roku jako pracujący w niej nauczyciel potem także pracownik systemu doskonalenia nauczycieli; uczestnik i beneficjent licznych szkoleń. Na użytek tego tekstu przyda się zdecydowanie perspektywa dorosłego w szkole.

Więc pamiętam, w uproszczeniu rzecz jasna, że u zarania mojego zawodowego doświadczenia była sobie szkoła, był uczeń, rodzic i nauczyciel. Pozycje, role i zadania wszystkich podmiotów były jeszcze jasne i z góry ustalone; wpisane w proces transformacji ustrojowej państwa i przemian społeczno-polityczno-obyczajowych. W oczach rosły prawa ucznia, rosła w siłę obywatelskość i przestrzeń demokratyczna. Szkoła średnia żyła od matury do matury, niższe szczeble egzaminem wstępnym do niej właśnie. Nauczyciel miał pod bokiem doradcę metodycznego, który nie funkcjonując w układzie towarzyskim „pokoju nauczycielskiego” był w stanie doradzić, a przede wszystkim miał szansę być wysłuchanym w swoich sugestjach lub podpowiedziach. Nauczyciel *rzeźbił* sobie *jakieś* pomoce dydaktyczne; klasówkę przepisał na maszynie przez kalkę w 30 egzemplarzach; spreparował *kawałek* filmu na kasecie VHS dla potrzeb lekcji i prezentowanych nań treści. Wyciągnął z biblioteki domowej czyjąś antologię wierszy z Ossolineum, żeby sięgnąć do pełniejszego niż podręcznikowy wyboru i wstępem rozniecić w uczniach *głód* pytań i dociekań interpretacyjnych. Słowem był nauczyciel samodzielny. *Szył* model edukacyjny na miarę i potrzebę klasy, względnie któregoś zdolniejszego ucznia(?) i na miarę własnych możliwości. Zgoda, to prosty, wręcz prostacki obraz minionej przeszłości. Słusznie minionej – ktoś powie, będąc zorientowanym na zmianę.

Ten ustabilizowany *teatr*, ktoś powie: konformistyczny *układ*, zaczął się kruszyć pod koniec XX wieku. Powiew nowego: zorientowanego na kształcenie umiejętności i podległą im wiedzę; promocję pracy w grupach i wykorzystanie metod oraz technik aktywizujących proces dydaktyczny zaczął dąć porywistym wiatrem odnowy. Impuls dała jeszcze reforma ustroju szkolnego, która powołała do życia gimnazjum. Wszyscy zaczynaliśmy wtedy ćwiczyć w posługiwaniu się terminologią wokół „ścieżek edukacyjnych”, „wszechstronnego rozwoju ucznia”, „mierzenia jakości pracy szkoły”, „celów operacyjnych”, itd. itp. Maszyny drukarskie rozpędzały się do coraz szybszego druku kolejnych wydań podręczników i coraz atrakcyjniejszej obudowy dydaktycznej – zeszytów ćwiczeń, kart pracy, zbiorów zadań. A na podwórka szkolne zaczęli wstępować szeroką ławą wydawcy, edukatorzy, trenerzy, konsultanci i innej maści specjaliści. Listonosze przynosili więcej ofert firm szkoleniowych; nauczyciele coraz zważniej i śmielej identyfikowali swoje potrzeby edukacyjne. Się kręciło.

Zewnętrzny nadzór pedagogiczny zdawał się legitymizować niniejszy trend, samemu mając niejaki interesik w nim. Bo to rosły efekty (zawsze w statystykach) a i można było wystąpić w *dwojgu* rolach – wizytatora i szkoleniowca. Lata mijały i drzwi szkoły się nie domykały. Szeroką ławą wnikały weń rzesze nowego. Przede wszystkim przekonanie, że nauczyciel już samodzielny nie jest i są tacy, którzy wiedzą lepiej, jak w niesamodzielności mu ulżyć. Dalej wnikało przekonanie, że czasy i młodzież są inne niż drzewiej bywało i bez praw, podmiotowości, indywidualności, partnerstwa, dialogu, samostanowienia, samorządności w wychowaniu i nauczaniu ani rusz. A kadry nauczycielskie krzepły, w zdawać by się mogło, doskonałym systemie awansu w profesjonalizm i perfekcyjną skończoność potwierdzoną finansowym tytułem nauczyciela dyplomowanego. Stan nasycenia środowiska *dyplomowanymi* osiągnął poziom wytrącania się kryształków tychże; złośliwi, a tych nie brakuje, utrzymują, że nawet administracja i obsługa w stan *zdyplomowania* popadła! Oczekiwać by zatem można, że tak skończony w znakomitości nauczyciel poradzi sobie z uczniem krnąbrnym, leniwym, wagarującym, zdolnym, nadpobudliwym, utalentowanym, wypalonym i wielu jeszcze innych specyfik. Tymczasem doskonaleniu, wsparciu i wspomaganii końca nie widać. Efekt? Trafia dziecię – *owoc* edukacji wczesnoszkolnej – do II etapu edukacyjnego i tam *pokój nauczycielski* konstatuje, że rączki niewyrobite, lateralizacja zaburzona, koncentracja fatalna, zdolności poznawcze leżą odłogiem! – kto cię uczył? rzucają pod nosem, z oczywistym poczuciem wyższości, że oni lepiej. Mijają trzy lata, dziecię już wyrosnięte trafia do gimnazjum i słyszy znaną sobie melodię: „jak ty sprawdzian napisałeś, przecież pisać i czytać nie umiesz”, „nie umiesz pracować w zespole”, „nie umiesz zorientować mapy? No skandal – kto cię uczył?!”, „do jakich szkół chodziliście, kiedy ja muszę z wami wszystko od początku...” – rzucają pod nosem i bardziej otwarcie, z oczywistym poczuciem wyższości, że oni lepiej ucz’om. Mijają trzy lata, koniec wieńczy dzieło, więc egzamin złożony. Wynik niezły – wiadomo, trochę czasu zeszło na *katowaniu* arkuszy egzaminacyjnych. Po wakacjach wyrosnięci młodzianka i młodzian trafiają do szkoły ponadgimnazjalne. Nawet nie muszą się odzywać, a i tak usłyszą bardzo dobrze znaną *melodię*: „kto was uczył, że nic nie umiecie?!”, „zobaczycie wreszcie, co to jest prawdziwa szkoła i nauka!”, „wasze gimnazjum to przedszkole było” i profilaktycznie dorzuci się, że „teraz trzeba będzie nadrobić wszystko z gimnazjum i swój materiał *przerobić*!” Proces nie jest skończony. Akademicy z wyższych uczelni pytać będą narybek studencki: „kto wam dał maturę?!”, a pracodawcy świeżo upieczonych absolwentów: „kto wam dał dyplom albo tytuł inżyniera?!”. No i stało się! Wszyscy zamknięci w swoim etapie kształcenia i przekonani o znakomitości swoich umiejętności pedagogicznych. Poczucie własnej wartości nauczycielskiej zbudowaliśmy kwestionując zasługę poprzedników z niższych etapów. Dlatego decydenci poszli po rozum do głowy (poszli śladem pieniędzy unijnych), i postanowili jeszcze szerzej rozewrzeć drzwi szkół i placówek. Na horyzoncie, zrazu nieśmiało, ale rok-dwa miną i w śmiałości wkroczą nowe zastępy specjalistów. Czas **sore’ów** i **coachów** nastał. Zapamiętaj nauczycielu te terminy profesję określające, wzbudź w sobie dlań respekt i uszanowanie, bo oni teraz wyznaczą przyszłość twojego rozwoju. Nic to opiekun stażu, nic ewaluator, za nic miej doradcę, konsultanta, trenera, edukatora, tutora, mentora. **SORE** i **Coach** to jest to! Oni uczynią twoje życie zawodowe proste i celowe, a szkołę ogniwem współpracy. Wzbudzą w tobie siłę, ożywią mocne strony. Modelem GROW, modelem SMART i cyklem Deminga rozbiją w pył wszystkie bariery i niemoce. Będzie ślicznie. Las porośnie zdrowy i bujny, drzewa wychyną ponad widnokrąg. Szkoła zafunkcjonuje perfekcyjnie, jak wcześniej perfekcyjnie zaowocowała w oparach ewaluacji i spełnianych wymaganiach. Odtąd nic już nie będzie takie jak przedtem. Uczeń, *sorki* – klient – nie sprawi już kłopotu, rodzic odda się bez reszty współpracy z nauczycielem a ten na dobre zadomowi się w szkole, z pogardą wspominając niegdysiejsze 40 godzin. Współpraca i

wspomaganie uczynią z edukacji wspólnotę jakości. Wszyscy pochylą się nad dobrem dziecka, bo przecież ono – dobro i dziecko – są najważniejsze.

Gdzie wobec powyższych upatrywać prawomocności porównań szkoły do drzew i lasów? No cóż, da się żyć na szkole, jak hubie na drzewie. Trochę pasożytniczo żerować na organizmie szkolnym. Zbudowane przez ostatnie lata w ministerialnych głowach przekonanie, że nauczyciel bez kontaktu ze specjalistami i „specjalistami” nie poradzi sobie w pracy z dziećmi i młodzieżą skutkuje 8 projektami systemowy, w których wykuwa się nowa nowa myśl pedagogiczna. Do szkoły *podczepiają* się i nadal będą liczne instytucje szkoleniowe, które jakoby mają monopol na wiedzę i „wiedzę”, jak doskonalić pracę nauczyciela. Reforma reformy reformy jest znakomitą okazją, żeby tłumaczyć, objaśniać, pokazywać, a przede wszystkim wymyślać nowe teorie pedagogiczne organizacyjne i metodyczne. Mam wrażenie, że nauczyciel przez lata mojej pamięci nie stracił samodzielności. On się po prostu rozleniwił i poddał w akcie rezygnacji fali „mędrców”, którzy szkołę *najeżdżają*. Czas na rewolucję, czas wrócić do koniecznej samodzielności w kreowaniu procesu dydaktycznego z przemyślanym osobistym przekonaniem, jak uczyć – żeby radość i pożytek miał uczeń, a satysfakcję wolnego człowieka nauczyciel.

Olgiert Neyman